



redagowany przez
Koło PTTK nr 21
przy BSPIR
ENERGOPROJEKT-
KATOWICE SA
ANDRZEJ FULCZYK

Ladakh na mapie Indii

Coca-cola to jest to!

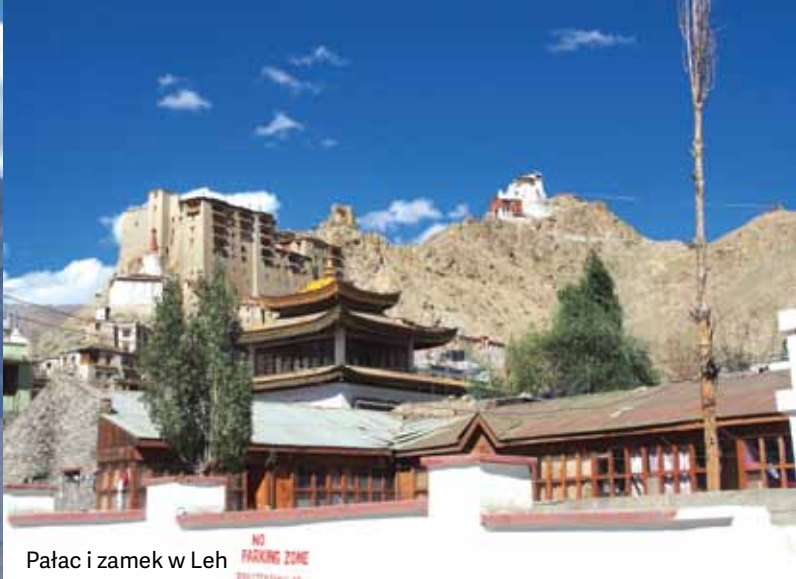
Ladakh to kraina leżąca w samym północnym koniuszku Indii, pomiędzy głównym grzbieciem Himalajów a pasmem Karakorum, wciśnięta pomiędzy chiński Tybet (którego jest częścią, często zwaną dla odróżnienia Małym Tybetem) a Kaszmir, podzielony między Indie i Pakistan.

Podobnie jak Tybet właściwy, Ladakh jest wyniesiony bardzo wysoko, pomiędzy 3 a 7 tysięcy metrów nad poziom morza, leżąc już za głównym grzbieciem Himalajów. Ongiś było to niepodległe himalajskie królestwo z tradycjami starszymi od Polski, ale położenie pomiędzy trzema mocarstwami nie mogło się dla niego dobrze skończyć. Przez wieki górskie państewko było najeżdżane to przez muzułmanów z sąsiedniego Kaszmiru, to przez Chińczyków, by wreszcie w 1947 wejść w skład niepodległych Indii. Okolica nadal jest niespokojna, bo w bezpośrednim sąsiedztwie Ladakhu stoczono

w ciągu ostatnich 70 lat już cztery wojny – trzy z Pakistanem i jedną z Chinami. Z tego powodu Ladakh jest jednym z najbardziej zmilitaryzowanych rejonów na świecie, pełno tu jest baz wojskowych, a liczba stacjonujących tu żołnierzy zbliżona jest chyba do liczby mieszkańców. Skutkiem ubocznym napiętej atmosfery międzynarodowej w tym rejonie jest też to, że tutejsza sieć komórkowa jest wyłącznie „dla swoich”. Telefony bez specjalnej i sprzedawanej tylko lokalnie za specjalnym zezwoleniem karty SIM w ogóle tej sieci nie widzą, a wwożenie telefonów satelitarnych do Indii jest zabronione. ►



Stok Kangri widziany z Leh

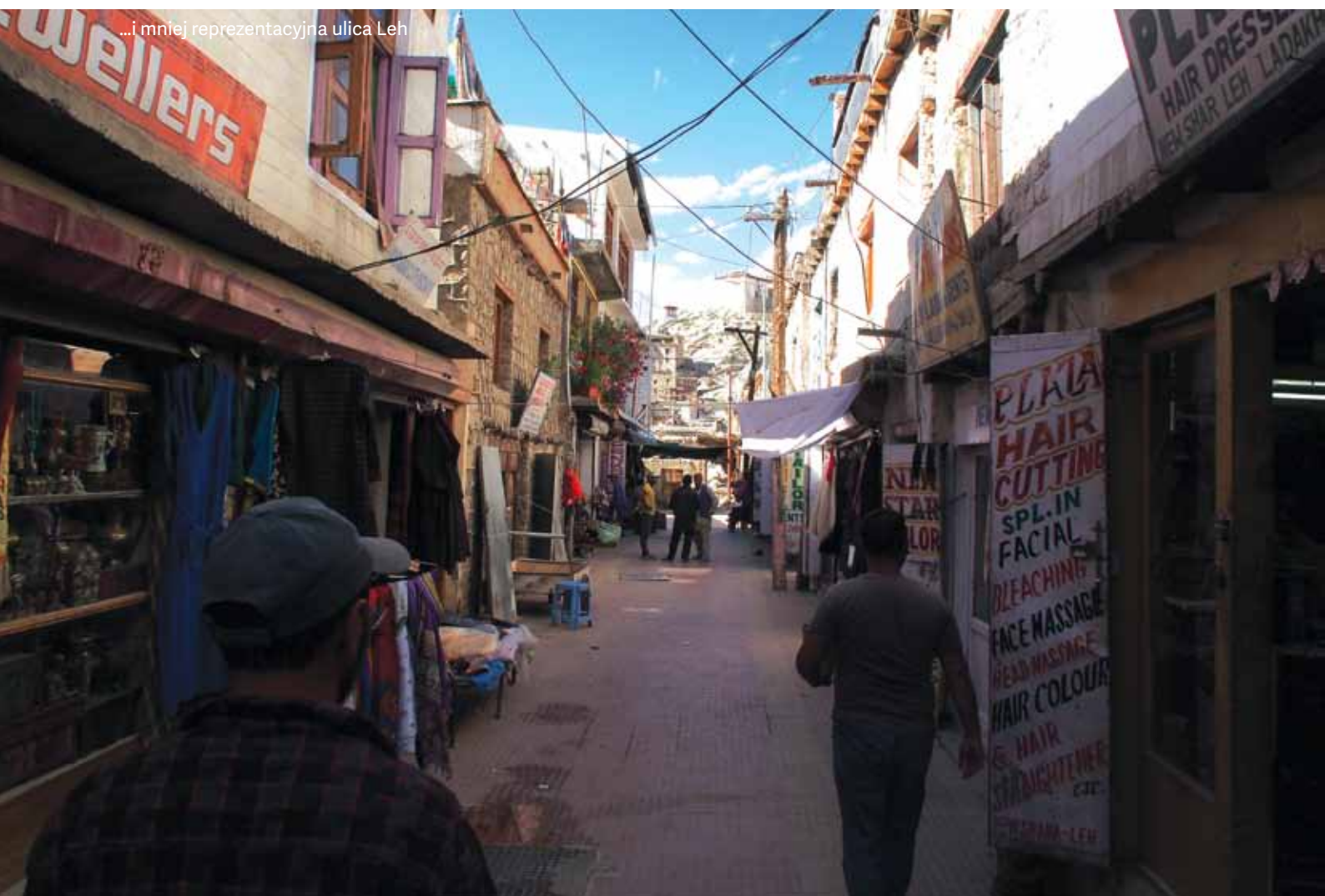


Pałac i zamek w Leh

Kulturowo Ladakhowi dużo bliżej jest do Tybetu niż do Indii, tutejsi mieszkańcy w większości wyznają buddyzm i mówią, że czują się Tybetańczykami, również ich język jest odmianą tybetańskiego. Stolicą tego regionu jest historyczne miasto Leh, otoczone wianuszkami baz wojskowych. Centrum Leh leży 3 i pół tysiąca metrów nad poziomem morza! Przez środek Ladakhu płynie Indus, miejscami szeroką doliną, a miejscami rzeźbi głębokie przełomy pomiędzy dwoma równoległymi himalajskimi grzbiętami. Przez blisko pół roku cały region jest praktycznie odcięty od reszty kraju. Kiedy śniegi zasypią himalajskie przełęcze, nie da się tu dojechać ani od strony Kaszmiru ani od strony Delhi. Pozostaje tylko samolot! Ladakh stał się w ostatnich latach popular-

nym celem trekkingów, wiele tu jest tras biegnących przez wysokie przełęcze lub na jeszcze wyższe szczyty. Ze względu na położenie na północ od głównego grzbiету Himalajów, w ich cieniu opadowym, pogoda tu jest bardzo stabilna i rzadko kiedy pada. Przyciąga nie tylko turystów pieszych czy wspinaczy, ostatnio stał się też Mekką motocyklistów, którzy przylatują tutaj, by na pożyczonych maszynach pokonać wysokogórską trasę z Leh do Manali, w kilku miejscach przekraczając wysokość 5 tysięcy metrów.

No i tym razem właśnie tam się wybrałem, razem z grupą prowadzoną przez przewodników z „Exploruj”. Było nas jedenaścioro czyli jak na trekkingową grupę dość sporo, do tego dwoje młodych, ale doświadczonych przewodników – szefową była Marta, a pomagał



...i mniej reprezentacyjna ulica Leh



Main Bazaar, reprezentacyjna ulica Leh

jej chilijski przyjaciel Brian, który na jakiś czas przyleciał do Polski. Razem stworzyli ujmujący duet z gatunku „ogień i woda”.

Lotnisko w Leh jest jednym z najwyższych na świecie położonych lotnisk pasażerskich. Pas startowy jest nachylony, a jego górny kraniec znajduje się na wysokości 3300 m, co czyni go położonym znacznie wyżej niż sławna Lukla (2860 m), a w odróżnieniu od niej lądują tu pełnowymiarowe samoloty pasażerskie jak choćby Boeingi 737. Podejście do lądowania jest bardzo emocjonujące, zniżający się samolot przelatuje nisko nad dwoma górskimi grzbieciami, w przeszłości zdaje się że nieomal zaczepia o nie skrzydłem, by w dolinie zawrócić i lecąc dużo poniżej okolicznych szczytów wypaść nagle nad pas startowy i przyziemić. Zdecydowanie ludzie o słabych nerwach nie powinni siedzieć przy oknie!

Oczywiście, nie ma tu typowego budynku portu lotniczego z rękawami. Stoi niewielki parterowy pawilon, do którego dowozi nas rozklekotany autokar pamiętający chyba czasy Gandhiego. Przed budynkiem i wewnątrz stoi wielu żołnierzy z bronią maszynową, pilnie lustrując wzrokiem przybyszów. Wewnątrz budynku

wiszą tablice informujące o tym, że miasto Leh leży na wysokości 3 i pół tysiąca metrów nad poziomem morza i w związku z tym prawie każdy tu przybywający zostaje dotknięty Ostrą Chorobą Wysokościową. Z tego powodu zaleca się przez pierwszy dzień całkowicie wykluczyć jakąkolwiek aktywność fizyczną (czytaj: leżeć płasko na hotelowym łóżku), a drugiego i trzeciego można próbować się wybrać na krótkie spacer.

No cóż, nasza przewodniczka Marta miała dla nas inne plany.

Wynajętymi, typowo hinduskimi taksówkami (czyli tutejszymi klonami Suzuki Carry, mikrovana o zewnętrznych gabarytach Cinquecento, do których mieści się czwórka pasażerów wraz z bagażem) pojechaliśmy do odległego o 5 km miasta. Droga prowadziła pomiędzy gęsto rozlokowanymi tu jednostkami wojskowymi, w końcu gdy dojechalismy do zwartego obszaru zabudowań zaczęła się jazda wąziutkimi uliczkami, gdzie przed każdym zakrętem kierowca trąbił, żeby nie nadziać się na jadącego z przeciwka. Oczywiście, z należytych szacunkiem omijał święte krowy, na które tutaj raczej się nie trąbi. W końcu podjechalismy pod ►



pensjonat, gdzie mieliśmy chwilę odpoczynku, żeby się umyć po 24-godzinnej podróży, rozpakować i choć na chwilę się położyć. Wkrótce jednak na korytarzu słychać sygnał – zbieramy się i idziemy do centrum.

Już z okien pensjonatu mogliśmy się przyrzeć smukłej, zaśnieżonej piramidzie – to nasz cel, szczyt Stok Kangri mierzący sobie 6150 metrów. Z tej perspektywy budził respekt.

Na obiad trafiamy do nepalskiej knajpki, prowadzonej przez młodych ludzi. Jest ona sprawdzona przez wiele polskich trekkingów, w środku widać naklejki między innymi doskonale mi znanych Horyzontów. Wbrew moim obawom tutejsze jedzenie jest bardzo smaczne. Jako iż jest to region wymieszany etnicznie i religijnie, nie podają tu nigdzie ani wołowiny ani wieprzowiny, co potwierdza przywieszony na ścianie specjalny certyfikat. Większość potraw jest wegetariańska, tylko niektóre są z kurczakiem albo z baraniną. W sumie to kury mają pecha, nigdzie nie trafiły na listę świętych albo plugawych zwierząt, więc wszędzie się je spożywa.

Samo miasto robi szokujące wrażenie na przybyszu z ułaskanej (mniej lub bardziej) Europy. Wąskimi ulicami przewala się rzeka samochodów, a że niewiele jest tu chodników,

to między nieustannie trąbiącymi autami przeciskają się piesi. Początkowo ma się odczucie że trafiło się na jakiś mały Armagedon, ale jak się okazuje –jakoś to funkcjonuje bez większych zgrzytów. Nie ma tu świateł ulicznych, a samochody jakoś przeciskają się przez skrzyżowania, jedzie się wolno, ale korków, takich żeby stać dłużej niż kilkanaście sekund tu nie ma. Przez cały pobyt nie widziałem też żadnej stłuczki. Inna rzecz, że na drogach królują tu małe auta, wielkości naszego Malucha albo też duże terenówki. Jedne i drugie mają łatwiej.

Spacerujemy najpierw luksusowym bulwarem Main Bazaar, będącym lehickim odpowiednikiem Krupówek, który charakterem nie różni się handlowych uliczek w naszych miastach, potem jednak skręcamy w bok i wracamy uliczką równoległą, która wygląda zupełnie inaczej. Miejscami nieutwardzona, zbyt wąska by zmieścić się na niej samochód prowadzi pomiędzy domami zbudowanymi z gliny, drewna i kamienia, które sprawiają wrażenie, jakby zaraz miały się rozsypać. Co ciekawe, uliczka to lokalne zagłębienie fryzjerów – napotkaliśmy tu przynajmniej 5 blisko siebie położonych „salonów”, w dodatku w każdym byli klienci. Tutejsi mieszkańcy jak widać bardzo dbają o wygląd.



Nasz pierwszy młynek modlitewny przed gompą Spituk



Dalaj Lama na tronie w Spituku

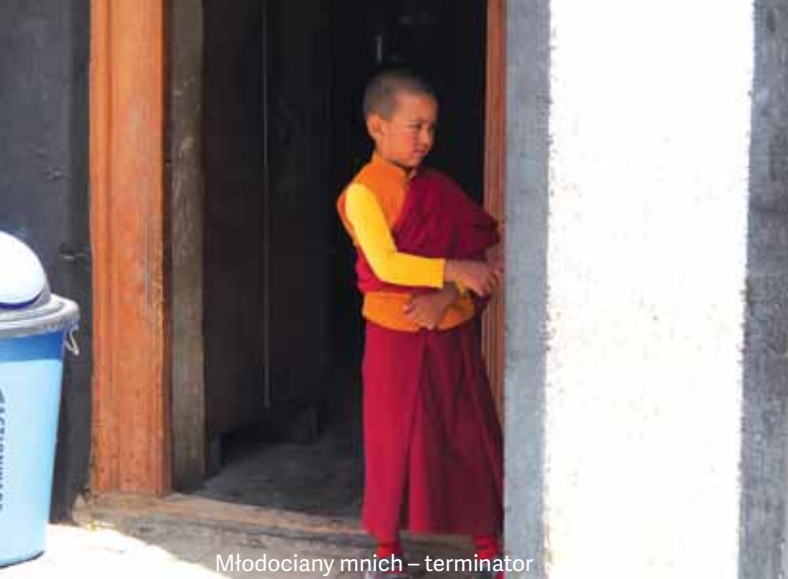
Nad miastem na skalnej grzędzie wznosi się dawny pałac królewski, a jeszcze 100 metrów wyżej – zamek. Obydwa to zabytki już dość leciwe i nie zamieszkane, dawny królewski ród wyniósł się do nowego pałacu w wiosce Stok. Stary pałac jest wygląda z zewnątrz dość imponująco, ma chyba z 7 pięter, co jak na budowlę XV wieczną wzniesioną na terenie sejsmicznym robi wrażenie. Ścieżką między domami wznosimy się do bramy wejściowej położonej na wysokości 3600 metrów, płuca wyraźnie dają znać że jesteśmy bardzo wysoko, każdy szybszy lub gwałtowniejszy ruch wywołuje zadyszkę.

Pałac jest dostępny do zwiedzania, lecz wewnątrz nie jest ciekawe. Wyposażenia praktycznie tu nie ma, przechodzi się przez puste pomieszczenia wspinając się coraz wyżej

i wyżej. Jedyne warte obejrzenia to buddyjska świątynia, ciekawa, bo pierwsza przez nas odwiedzona. Z kolejnych poziomów otwierają się jednak coraz szersze i piękniejsze widoki na wysokogórskie otoczenie Leh. Mamy piękny wgląd na dolinę Indusu i wznoszące się za nią pasmo Zanskaru z ośnieżonym szczytem Stoka. Za plecami mamy pasmo Ladakh, niższe i bez śniegu, za to bardziej skaliste, a u stóp – miasto Leh podzielone przez grzędę skalną, na której wznosi się pałac na dwie części – po jednej stronie Leh tybetańskie, składające się głównie z niskich, glinianych domów, wznoszących się na terenach zupełnie jałowych, a po drugiej – Leh turystyczne, z budynkami w stylu europejskim, tonące w zieleni. Skąd taki kontrast? Po prostu po jednej ►



Palenisko dla zniczy wraz z zapasami paliwa



Młodziacy mnich – terminator



Stupy na tle Stok Kangri

stronie płynęła rzeka lodowcowa ze znacznej himalajskiej doliny, którą umiejętnie rozszczepiono na dziesiątki pomniejszych strumieni, które przepływając przez miasto zapewniają wodę dla roślin. Druga część miasta takiego szczęścia nie miała, leżąc w dolinie suchej i bezwodnej.

Na tym zwiedzanie w zasadzie zakończyliśmy, podchodząc na dach pałacu i tak złamaliśmy wszelkie zalecenia, dotyczące inauguracji przebywania na takiej wysokości. Faktycznie, do zmęczenia wielogodzinną podróżą i niewyspaniem zaczynają dochodzić coraz wyraźniejsze objawy puny – choroby wysokościowej. Pojawia się ściąający ból głowy, krótki oddech i ogólne zmęczenie. Pora na odpoczynek.

Jedną z charakterystycznych cech Ladakhu są stada wałęsających się bezdomnych psów. Na szczęście nie są agresywne, w dzień leżą gdzieś w cieniu i śpią, generalnie zachowują się cicho, w nocy zaś zaczyna się festiwal szczekania. To po prostu niesamowite, jak zdrowe mają płuca. Niektórzy z nas obdarzeni przez naturę lekkim snem nie mogli przez nie zasnąć. Sam słyszałem osobnika, który jednostajnie i monotonnie szczekał przez całą godzinę. Może dłużej, bo po godzinie zasnąłem.

Następnego dnia samopoczucie nadal nie jest rewelacyjne, a w programie już wyjazd poza Leh. Pod pensjonat podjeżdżają mały busik i terenówka, które będą nas wozić przez kilka kolejnych dni, pojawia się też lokalny przewodnik,

Na moim pierwszym himalajskim szczytiku





Połączenie Indusu i Zaskaru

k którego z racji niewielkich gabarytów nazwaliśmy Małym. Na pierwszy ogień idzie klasztor buddyjski leżący tuż przy lotnisku – Gompa Spituk.

Buddyjskie obiekty sakralne z grubsza dzielą się na dwie kategorie – coś w rodzaju kapliczek, bez stałej obecności personelu to stupy. Większość tutejszych stup ma kształt kojarzący mi się z transformatorami uziemiającymi, z dużym izolatorem wysokiego napięcia na szczycie. Stupy potrafią być bardzo duże, ale większość z nich jest mała, gabarytami przypominając nasze kapliczki, jest ich za to ogromne mnóstwo. W każdej stupie ukryta jest jakaś relikwia.

Gompa z kolei to świątynia połączona z klasztorem, gdzie personel ruchowy w postaci mnichów jest stale obecny. Wiele z nich to miejsca święte, do których wierni tłumnie pielgrzymują, przynosząc ze sobą dary, z których utrzymują się mnisi. Spituk jest właśnie takim klasztorem położonym najbliżej Leh, wzniesionym na skale pomiędzy lotniskiem i Indusem. Tutaj pierwszy raz mamy do czynienia z młynkami modlitewnymi, które występują w dwóch gabarytach – potężne walce wysokości dobrych dwóch metrów, które po zakręceniu wystającym prętem uderzają w specjalny dzwonek,

generujący modlitwę oraz dużo mniejsze, o wysokości około 30 cm, wydające z siebie grzechoczący dźwięk i umieszczone najczęściej seriami po kilka. Obowiązuje zasada, że każdym młynkiem należy kręcić zgodnie z ruchem wskazówek zegara, podobnie po lewej stronie należy mijać wszelkie stupy oraz popularne tutaj murki z ułożonymi na nich mantrami. Zasada ta obowiązuje tu do tego stopnia, że nawet nasz kierowca zjechał z asfaltowej drogi, która prowadziła obok jakiejś znaczniejszej stupy i bezdrożami objechał ją z lewej po czym wrócił na asfalt.

Zwiedzanie gompy Spituk zaczęliśmy od należytego rozkręcenia dużego młynka przed wejściem. Sam klasztor z zewnątrz sprawiał raczej przygnębiające wrażenie, zapewne przez to że mury obłożone pobieloną gliną nie wyglądały najlepiej. W pomieszczeniach było dużo ciekawiej. Ściany i sufit pokrywały barwne polichromie, wewnątrz centralne miejsce zajmował tron, na którym spoczywał portret aktualnego Dalaj Lamy, przybrany ozdobami. Zapoznaliśmy się też z tybetańską technologią wyrabiania zniczy. U nich stosuje się w tym celu czarki lub puchary z wsadzoną do środka knotem, do których nalewa się olej lub roztopione masło. Taki znicz straszliwie kopci, ale można ►



Budda o tysiącu rękach, tysiącu oczu i 11 głowach w klasztorze Likir

w nim na bieżąco uzupełniać paliwo. Z oczywistych względów umieszcza się je najczęściej poza budynkami, w metalowych skrzyniach z kominami odprowadzającymi spaliny. Dookoła takiej skrzyni piętrzą się butelki oleju roślinnego z pierwszego tłoczenia, przyniesione w darze przez pobożnych wiernych.

Centralnym punktem gompy jest rzecz jasna świątynia, w której znajduje się wielki posąg Buddy. Czasami posągi te są tak ogromne, że nie mieszczą się w świątyniach i są stawiane na zewnątrz, z reguły pomalowane na złoty kolor. Taki Budda świeci się wtedy na słońcu i jest widoczny z daleka.

Po obejrzeniu Spituku zeszliśmy nad Indus. Jedna z największych rzek Indii tu była jeszcze stosunkowo blisko swoich źródeł, nie była bardzo szeroka ale i tak budziła respekt wartkim nurtem. Nasz przewodnik poinformował nas, że w okolicy Leh ma ona od kilku do kilkunastu metrów głębokości!

Kolejnym punktem zwiedzania był spory klasztor w wiosce Phyang leżącej w bocznej dolinie niedaleko Leh. Zbudowany na wyniosłej skale z daleka rzucał się w oczy. Tutaj mieliśmy okazję przyjrzeć się z bliska ceremoniałowi odprowadzania modłów przez grupę mnichów. Jak się okazuje, odmawianie mantr wcale nie jest bułką z masłem. Aby je uprawomocnić, mnisi muszą wykonywać odpowiednie gesty, używać odpowiednich przedmiotów i w dodatku przebierać się w zależności od fazy modlitwy – obsługiwał ich przy tym mnich od specjalnych poruczeń. Bardzo żałowałem, że nie można było tego sfilmować ani robić zdjęć.

Klasztor Phyang zrobił na nas dużo korzystniejsze wrażenie od Spituku – był czystszy, lepiej utrzymany i świeżo odmalowany. Część budynków wyglądała na zupełnie nową, byliśmy nawet świadkami powstawania barwnych malowideł na ścianach.

Wróciliśmy do Leh i podjechaliśmy tym razem pod położony wysoko nad miastem zamek. Okazuje się, że choć znajduje się on 200 metrów powyżej centrum miasta, to od drugiej strony jest łatwo dostępny od drogi prowadzącej z Leh na jedną z najwyższych przełęczy



Z napowietrznym super-Buddą w Likirze

udostępnionych bitą drogą – Khardung La (5359 m). Na zamku znajduje się czynna świątynia z olbrzymim posągiem Buddy (jak zwykle), reszta pomieszczeń to nagie ściany. Interesujący jest tylko widok z dachu najwyższej zamkowej kondygnacji.

Kolejny dzień to rozgrzewka przed właściwym trekkingiem – czyli mini trekking przez dwie himalajskie przełęcze. Na razie bez szału, bo mieliśmy osiągnąć wysokość około 3850 metrów.

Do punktu startowego naszego mini treku musieliśmy odjechać kilkadziesiąt kilometrów od Leh. Jazda hinduską drogą strategiczną przysparza sporo emocji. Ruch jest tu całkiem spory, a połowa pojazdów to ciężarówki wojskowe. Mijamy znów kilka jednostek by wreszcie definitywnie opuścić obszar zabudowany, skutkuje to wyjazdem na suchą jak pieprz pustynię. Roślinność tu jest szczątkowa, gdzieś rosną kępy żółtych kwiatków, nawet Indus nam się gdzieś schował. Po przejechaniu jednak przez małą przelęczkę pokazuje się on nam znów, płynąc w głębokim wąwozie. Po chwili droga schodząca tu ostrymi serpentynami w dół zbliża się do jednego z niesamowitych miejsc – dwie potężne górskie rzeki, Indus i Zaskar, obydwie



Klasztor Likir, super-Budda po lewej



Dolina Zaskaru

płynące tu w skalistych wąwozach łączą się w jedno. Tradycyjnie każda z rzek ma trochę inny kolor, tak więc przez moment w połączonym nurcie widać barwny przekładaniec. Chwilę jedziemy znów nad dużo większym tu Indusem, potem jednak skręcamy w boczną drogę, która zaczyna ostro piąć się w górę. Po chwili wkraczamy w zupełnie inny świat, przecinając jeden po drugim wyniosłe boczne grzbiety pasma Ladakhu. Przewodnik wyjaśnia nam, że w zasadzie jedziemy teraz jedną z trekkingowych tras, która prowadzi równolegle do naszej drogi, jest obliczona na cztery dni marszu i pokonuje kilka himalajskich przełęczy, z których my załapiemy się na dwie ostatnie. Istotnie widzimy biegnącą w pobliżu ścieżkę, którą od czasu do czasu przesuwają się postacie z ogromnymi plecakami. Nasza droga wiję się serpentynami to wspinając się na kolejną przełęcz to stromo opadając z niej w dół, widoki nieustannie się zmieniają. Wreszcie przejeżdżamy przez wioskę, w której nasz spacer miał się zacząć, kierowcy jednak pełni dobrej woli zawieźli nas na kolejną przełęcz która miała być naszym pierwszym celem, tak byśmy mieli mniej do przejścia. Cóż, przejścia aklimatyzacyjne nie do końca na tym polegają, żeby przejeżdżać je samochodem!

Nie mieliśmy już jednak zamiaru wracać na dół do wioski. Znajdowaliśmy się na przełęczy Metab La, liczącej około 3800 metrów, słońce pięknie świeciło, pora nasmarować się kremem i ruszać na pierwszą w moim życiu wycieczkę w Himalajach!

Wycieczka ta zaczęła się nieortodoksyjnie, bo zejściem w dół. Rozciągnęliśmy się w długi łańcuch, prowadził nas Mały, a Marta ze Brianem szli na końcu. Teren był suchy jak pieprz, dzięki temu jednak mogliśmy podziwiać różnokolorowe skały budujące okoliczne góry – od lekkiego fioletu, przez cynober, różne odcienie żółci po zielonkawy. W dół schodziło się nieźle, niestety jak mawiają mieszkańcy Nowej Gwinei – what comes down, must go up – i po zejściu zaczęło się podejście. Nie było może bardzo strome ani jakieś szaleńczo długie, ale nasza aklimatyzacja była jeszcze w powijkach, więc 200 metrów różnicy wzniesień zajęło nam blisko trzy kwadranse. Wkrótce jednak doszliśmy do plano-

wego najwyższego punktu naszej trasy – przełęczy Charatsey La o wysokości 3840 metrów. Ponieważ grupa się bardzo rozciągnęła, a nasza pilotka szła z tyłu, w mojej głowie zakiełkował chytry plan. Jak wiadomo, przełęcz to obniżenie pomiędzy górami. Góry są po to, żeby je zdobywać. Po prawej stronie zaczynała się skalna grań wiodąca do głównego grzbietu, ale po lewej widziałem niewysokie obłe wzniesienie, które miało szansę stać się moim pierwszym himalajskim szczytem. Spytałem się Małego, czy mogę tam skoczyć, bo wyglądało na to, że jest tam naprawdę blisko. Zgodził się bez problemu. Dwoje współuczestników zapragnęło iść ze mną, więc natychmiast ruszyliśmy szparkim krokiem w stronę zachęcającego garbu. Oczywiście, gdy na niego weszliśmy okazało się że właściwy wierzchołek jest kawałek dalej. Po chwili staliśmy na czubku i zachwycaliśmy się wspa- niałą panoramą, dużo szerszą i piękniejszą niż przełęcz. Szczycik liczył sobie 3877 metrów, niezbyt dużo jak na tutejsze warunki, ale co za satysfakcja!

Po nasyceniu się widokami pora była zejść z powrotem na przełęcz. Nasza przewodniczka gdy tylko straciła nas z oczu poszła naszym śladem i teraz przyglądała nam się bardzo krytycznie z połowy drogi do przedwierzchołka. Ona jeszcze nie wiedziała, że to dopiero początek moich samowolek...eee, wycieczek fakultatywnych.

Z przełęczy pozostało nam tylko dość jednostajne zejście do wioski Ang, gdzie czekały na nas nasze samochody. Pierwsza wycieczka nie przyniosła imponujących rezultatów – ledwie 9 kilometrów i 260 metrów pokonanego przewyższenia. Cekał nas teraz powrót do doliny Indusu wspinałą doliną potoku Ang, która w końcowym odcinku zamieniła się w skalny kanion. Nocleg mieliśmy przewidziany w pensjonacie znajdującym tuż obok jednego z najznamienszych zabytków Ladakhu – klasztoru Alchi. Wybudowany w X stuleciu znajduje się na Światowej Liście Dziedzictwa UNESCO. Po wzięciu na obiadokolacji w sympatycznej knajpce, gdzie kuchnia, po której kręciły się cztery ładne, młode Tybetanki oddzielona była od jadalni tylko białym i na ▶



Przeprawa przez Zanskar

bieżąc mogliśmy obserwować, jak przygotowywany jest nasz posiłek zdążyliśmy jeszcze zwiedzić ten klasztor tuż przed zamknięciem. Trzeba bezstronnie przyznać, przy całym szacunku dla niezwykle starej tutejszej kultury – ten klasztor był najbrzydszy i najbardziej zaniedbany ze wszystkich, które mieliśmy okazję obejrzeć. Polichromie nie były restaurowane chyba od czasów ich powstania, za wyjątkiem jednej ściany – gdzie je odrestaurowano, a następnie woda, która dostała się do wnętrza świątyni przez dziurawy dach dość dokładnie je rozmazała. Może lepiej nie zapisywać tutejszych klasztorów do UNESCO?

W sumie największą atrakcją Alchi był wielki targ z pamiątkami, rozciągający się wzdłuż drogi dojścia do klasztoru. Zanurzyliśmy się pomiędzy stragany i oddaliśmy się hazardowi targowania jak najlepszych cen, w czym niektórzy z nas osiągnęli spore sukcesy. Niestety, nie ja.

Następnego dnia w planach był powrót do Leh, po drodze mieliśmy zwiedzić jeszcze dwa kolejne klasztory. Trochę byłem już zmęczony tym zwiedzaniem, ale muszę przyznać że klasztor Likir zrobił na mnie dobre wrażenie. Właśnie tutaj ogromny Budda w wersji napowietrznej stał,

a właściwie siedział na tronie na dziedzińcu klasztoru, złoć się w słońcu – robiliśmy sobie przy nim zdjęcia i sięgaliśmy mu mniej więcej do kostek. Klasztor był bardzo rozległy, z własną salą muzealną oraz dwiema świątyniami, gdzie nasz przewodnik Młody usiłował wytłumaczyć nam zawiłości buddyzmu, ale im więcej tłumaczył, tym mniej z tego rozumiałem. Najbardziej szokującym widokiem był mnich w typowych czerwonych szatach, siedzący przy komputerze służącym do monitoringu klasztoru – takie lekkie zderzenie tradycji z nowoczesnością. Z drugim mnichem się zaprzyjaźniliśmy i w zamian za to, że podwieźliśmy go do głównej szosy pozwolił na robienie sobie z nim zdjęć.

Drugim klasztorem tego dnia było Basgo. W zasadzie są to ruiny obronnego klasztoru, który bardziej przypomina zamek. Niestety, mnich pilnujący wejścia najwyraźniej miał przerwę obiadową, albowiem nie było go na stanowisku i nie miał nam kto otworzyć świątyni, w której ponoć ukryty był największy wnętrzowy Budda w Ladakhu. Musieliśmy zadowolić się jego nieco mniejszym bratem stojącym w dolnej świątyni. Co ciekawe, mnich odźwierny zostawił tam bloczek z biletami i pieniądze na wierzchu. Nie pozostało zatem nic innego, jak oderwać 14 biletów i pozostawić odpowiednią sumę w koszyku.



Codziennosc mieszkancow gorskich wiosiek



Polozona na wysokosci ponad 4100 metrow wioska Shingo

Ostatnia atrakcją tego dnia było namacalne zbliżenie się do połączenia rzek Indus i Zaskar. Na cyplu utworzono specjalny punkt widokowy, wybudowano restaurację, sklep i przystań, jest to bowiem punkt końcowy raftingu, który odbywa się zarówno na Indusie jak i na Zaskarze. Dwie potężne rzeki łączące się w jedną w scenerii wysokich gór robiły ogromne wrażenie.

Wieczór w pensjonacie spędziliśmy na pakowaniu się na właściwy trekking. Rano, zaraz po śniadaniu pożegnaliśmy cywilizację w postaci elektryczności, internetu, bieżącej wody (cieplej i zimnej) oraz toalet za zamkniętymi drzwiami na ponad tydzień.

Punktem startowym trekkingu miała być wioska Chiling leżąca w dolinie Zaskaru. Musieliśmy więc kolejny

raz dojechać do połączenia rzek, by tam skręcić w wąski kanion tej rzeki. Krajobraz znów się zmienił, bo jechaliśmy wąską drożką, najpierw asfaltową a później szutrową po skalnej półce, wznoszącej się jakieś 10 metrów nad korytem huczącej na bystrzynach i progach rzeki. Jak nam wyjaśnił przewodnik, kilka lat temu w górze Zaskaru zesłała wielka lawina, która zatarasowała koryto i utworzyło się jezioro. Nie przetrwało ono jednak długo, wał tamujący przepływ któregoś dnia uległ gwałtownemu przerwaniu i masa wody runęła w dół, znosząc wszystkie mosty, które były przerzucone nad rzeką i uszkadzając w kilku miejscach drogę. Widzieliśmy kilka ekip, które ją naprawiały, metodą kamienia łupanego czyli siły rąk i młotów. Co ciekawe, sprzęt zmechanizowany, nieużywany stał w zatoczce. Może to sposób na walkę z bezrobociem? ►

Świat z wysokości 4600 metrów





Spotkanie z jakami



Obóz nr 3

Po przerwaniu mostów liczne wioski w bocznych dolinach zostały odcięte od świata. W taką właśnie boczną dolinę, którą płynął potok Markha mieliśmy się udać. Samochody wysadziły nas przy ruinach dawnego mostu, po którym zostały przyczółki i jakieś resztki konstrukcji stalowych, leżących w rzece. W miejsce mostu przez rzekę przerzucona była stalowa lina, na której na kółkach zawieszona była drewniana platforma, przypominająca nieco klatkę. Do platformy z kolei z każdej strony przywiązane były sznury, które służyły do przeciągania jej z jednego na drugi brzeg.

W klatce na powierzchni mniej więcej jednego metra kwadratowego mieściły się 4 osoby lub odpowiednia kombinacja osób i bagażu. Jechało się na siedząco, czterech osoby bardzo szczelnie wypełniały platformę, a każdemu nogi zwisały swobodnie nad wodą. Początkowo platforma pod własnym ciężarem szybko zjeżdżała nad środek rzeki, by potem zostać mozolnie przeciągniętą za pomocą sznura na drugą stronę. Tam delikwenci wysiadali i klatka wracała do punktu wyjścia.

W międzyczasie gdy my przeprawialiśmy się przez rzekę, po drugiej stronie pojawiła się długa karawana naszych jucznych koni wraz z obsługą trekkingu – koniuszymi, kucharzem i kuchcikiem. Naliczyłem 20 rumaków i jednego osła. Koniki były malutkie i drobne, cierpliwie czekały, gdy obsługa objuczała je bagażami – naszymi plecakami, a także namiotami, prowiantem i całym sprzętem niezbędnym podczas trekkingu. W końcu ruszamy. Sprawdzam wysokość – 3100 metrów, a więc sporo niżej niż Leh.

Pierwszego dnia droga nie jest długa. Pokonujemy jakieś 7 km do wioski Skyo, gdzie ma być nasz pierwszy obóz. Markha jest znacznie mniejszą rzeką od Zanskaru, to w zasadzie potok, który jednak na przy końcu swego biegu płynie równie głębokim kanionem. Na początek trzeba było się wspiąć na krawędź tego parowu, by potem już mniej więcej po poziomicy zbliżać się do celu. Po drodze, ku mojemu zdziwieniu mija nas samochód. Pytam się przewodnika, skąd się tu wziął? Okazało się, że zerwanie mostu

odcięło tutaj kilkanaście pojazdów, będących własnością mieszkańców wiosek w dolinie. Gdy przyszła zima wszystkie za wyjątkiem dwóch przejechały po lodzie na drugą stronę Zanskaru i ewakuowały się do cywilizacji. Dwa zostały i teraz ich właściciele, cytując Ferdka Kiepskiego, koszą niezłą kapuchę na wożeniu turystów i zapleczenia pomiędzy przeprawą a wioską Skyo. Benzynę dowozi się im z miasta i przerzuca przez rzekę.

My jednak korzystaliśmy z końskiej i osłej siły żywej oraz z własnych mięśni. Przejście 7 kilometrów zajęło nam około dwóch godzin i dotarliśmy do leżącego na wysokości 3350 metrów Skyu. W oczekiwaniu na dojsie karawany zasiedliśmy w małej herbaciarni, którą – jak pisało na powieszonym w środku plakacie – prowadzą kobiety z wioski, które w ten sposób uczą się nowoczesnej przedsiębiorczości i samodzielności. Z funduszy pomocowych zakupiły nowoczesny ultrafioletowy filtr do wody i parę innych elementów wyposażenia. Proszą o wyrozumiałość, jeżeli w czymś ich obsługa nie okaże się idealna.

Herbata z cytryną, imbirem i miodem smakuje w tych okolicznościach jeszcze lepiej niż zwykle. W końcu karawana nadciąga, dostajemy namioty do rozłożenia, a kucharz zaczyna przygotowywać posiłek.

Dolina Markhi jest ważną trasą trekkingową w Ladakhu. Główna trasa biegnie nią aż do wyniosłej przełęczy Kangmaru La, mierzącej sobie ponad 5300 metrów, skąd wraca doliny Indusu i cywilizacji. Skyo jest punktem ważnym logistycznie, albowiem tutaj w boczną dolinę odchodzi trasa na drugą stronę grzbietu – do Leh i w stronę szczytu Stoka. Niestety, to że jest to tak ważny punkt oznacza, iż licznie przechodzące tędy trekkingi pozostawiają po sobie ślady – głównie są to ślady koni i nie mam tu na myśli odcisków podkówek. W zasadzie trudno znaleźć tu miejsce na rozbiście namiotu wolne od końskich odchodów, których sporo znajdowało się także w pobliżu ujęcia wody, które było wykorzystywane przez naszego kucharza. Niestety.

Ponieważ dzień był jeszcze daleki od końca, wybraliśmy się na spacer w górę doliny Markhi, a wracając obserwowaliśmy piękny zachód słońca nad himalajską doliną. Zaczęło się pięknie.



Tam idziemy! Przed nami przełęcz Stok La

Następnego dnia budzę się z problemami żołądkowymi. Zresztą nie tylko ja, również kłopoty ma jedna z koleżanek. Biorę nifuroksazyd w nadziei że załatwi sprawę i jem normalne – zresztą pyszne śniadanie. Tego dnia czeka nas sporo podejścia.

Po spakowaniu namiotów i załadowaniu dużych plecaków ruszamy w drogę. Odbijamy od doliny Markhi w bok i zaczynamy podchodzić boczną dolinką w otoczeniu pionowych skalnych ścian – krajobraz jak w Dolomitach. Niestety, bardzo szybko mój żołądek daje o sobie znać. Jedną z podstawowych zasad aklimatyzacji w wysokich górach jest dużo pić, odwodnienie jest bardzo niebezpieczne. Niestety, właśnie zacząłem odwadniać się w tempie ekspresowym, a co gorsza – podrażniony żołądek nie przyjmuje nawet wody – natychmiast ją zwracam.

Prawdę mówiąc w takiej sytuacji najbardziej nadałbym się do szpitala pod kroplówkę, tymczasem jestem o dwa dni drogi od cywilizacji, w dodatku czeka mnie znaczny wysiłek i podejście na wysokość powyżej 4 tysięcy metrów. Co robić? I tu wkroczyła Marta, nasza przewodniczka. Przydziela mi Briana do osobistej eskorty, daje jakiś swój antybiotyk, podobno bar-

dzo skuteczny w dolegliwościach żołądkowych, a do tego wręcza mi tubkę żelu owocowego z przykazaniem – co 20 minut pociągnąć odrobinę żelu z tubki i wypić jeden łyk wody. I w tym rytmie ruszamy dalej. Rzecz jasna wlokę się na końcu, za grupą. Nie czuję się specjalnie mocny. Na szczęście biegunka i torsje się skończyły, Brian regularnie co dwadzieścia minut podaje mi butelkę z wodą, ale czuję się jak inwalida, a wszelkie marzenia o wejściu na szczyt zdają się odpływać co najmniej do przyszłego roku.

Wreszcie po trzech godzinach marszu docieramy do tea-tentu – tutejszej odmiany bufetu. Pod rozpiętym namiotem rezyduje lokales, który sprzedaje herbatę, zimne napoje – colę, fantę i sprite, a nawet przyrządza jakieś podstawowe posiłki. Kupuję sobie butelkę coca-coli i wbrew radom (poczekać aż się wygazuje, pić powoli) wypijam ją prawie całą. I stał się cud! Cola nie tylko się we mnie przyjmuje, ale dodaje mi niezbędnej energii. Dalej idę już z grupą i nie zostaję beznadziejnie z tyłu.

Dochodzimy do wioski Shingo, leżącej na wysokości 4 100 metrów – bez prądu, bez zasięgu telefonicznego, mało tego – nawet bez internetu. Mi- ▶



Nasza karawana wspina się na kolejną przełęcz

jamy mieszkańców pracujących na poletku, będącym oazą zieloności wśród kamieni i skał – na nasz widok uśmiechają się, machają do nas rękami i chętnie pozują do zdjęć. Jak oni tu żyją, kiedy do najbliższego cywilizowanego miejsca są dwa dni drogi? Jak przeżywają zimę? Co robią, gdy zachorują? Mijamy kamienne, prymitywne budynki, ale sądząc po uśmiechach ludzi których mijaliśmy – oni potrafią tu być szczęśliwi.

Tuż nad wioską mieliśmy się rozbić, ale najwidoczniej plany się zmieniły, bo wciąż idziemy coraz wyżej. Krajobraz zmienił się o tyle że jakiś czas temu wyszliśmy z wąskiej, skalnej doliny i teraz idziemy terenem łagodnie nachylonym, otoczeni kopulastymi wzniesieniami w krajobrazie bardziej przypominającym Bieszczady niż Himalaje. W końcu napotykamy naszą karawanę, rozkładamy namioty i przygotowujemy się do prawdziwie wysokogórskiej kolacji – na wysokości 4300 metrów nad poziomem morza. Panorama stąd jest przepiękna, bo szczyty które jeszcze wczoraj oglądaliśmy od spodu i które zamykały widnokrąg teraz są na naszej wysokości, a zza nich wyłoniło się całe morze gór, za które właśnie zapadało się słońce. Biegunka minęła, jem bardzo oszczędną kolację składającą się z podplomyków i suchego ryżu i kończę dzień w dość dobrym nastroju.

Tradycyjnie o 6:30 kucharz z kuchciem budzą całe towarzystwo, zresztą w sposób bardzo kulturalny – przynosząc każdemu do namiotu kubek gorącej herbaty. Jemy śniadanie (ja oczywiście bardzo postne i skromne), składamy namioty i ruszamy w dalszą drogę. Dziś czeka nas dość długi odcinek z kulminacją w postaci przełęczy Ganda La, mierzącej jeśli wierzyć mapom 4980 metrów. Słońce przyjemnie świeci od rana, nie jest zbyt zimno więc w bardzo dobrym nastroju, choć też raczej w wolnym tempie wspinamy się do góry. Przewodnik pokazuje nam ręką na pobliskie zbocze – pasą się na nim takie dziwne, długowłose krowy z wielkimi rogami. To natywni mieszkańcy tych gór – jaki. W aurze sensacji podchodzimy do jednego egzemplarza, pięknie umaszczonego na czarno-biało. Gdyby nie jego gabaryty, to z takim futrem idealnie nadawałby się na zwierzątko domowe!

Czuję się nadspodziewanie dobrze, dla pewności popijam resztki coli. Przełęcz zbliża się i widzę, że z obydwu stron towarzyszą jej łagodne, kopulaste szczyty. Z pewnością wejście na nie sprawi najmniejszych trudności. Marta jak zwykle pilnuje tyłów, więc podchodzę do Małego i pytam się go, czy będę mógł wejść z przełęczy na jeden ze szczytów – i tutaj

zataczam ręką dość szeroki krąg. Mały odpowiada mi że jak najbardziej. Gdy docieramy na przełęcz, końcówka grupy jest dość daleko za nami. Zostawiam więc plecak i razem z dwojgiem tych samych co poprzednio towarzyszy zaczynamy podejście na wznoszący się tuż nad siodłem garbik. Nie trwało nawet 10 minut, gdy byliśmy na wierzchołku, który według wskazań mojego GPS miał 5021 metrów. To było już niezłe, ale kawałek dalej znajdował się kolejny garbik, już nieco większy. Moi towarzysze zaczęli schodzić na dół, a ja pod pretekstem potrzeby chwili samotności zostałem na szczycie. Widziałem, że końcówka grupy ma jeszcze spory kawałek do przełęcz, nie zastanawiałem się długo... tak szybko jak umiałem zacząłem wspinać się na kolejny szczyt. Wiedziałem, że jest to już samowolka do kwadratu, bo Mały dając mi zezwolenie z pewnością myślał tylko o tej najbliższej górze, ale cóż – wejście na Stoka jest niepewne, przy moich dolegliwościach nawet bardzo niepewne, więc przynajmniej nie wrócę z tego wyjazdu z niczym. Oczywiście, na tej wysokości nie ma mowy o wbieganiu na wierzchołki, więc potwornie sapiąc wpiełem na kolejny szczyt, który w myślach nazwałem „Wielką Kopą” – w odróżnieniu od Małej Kopy nad samą przełęczą. Wszedłem i oniemiałem.

Do tej pory okoliczne szczyty mocno przysłaniały nam widnokrąg. Wielka Kopa liczyła sobie 5108 metrów i z niej dopiero zobaczyłem pokryte śniegiem i lodowcami gniazdo Stok Kangri, leżące zdaje się na wyciągnięcie ręki. Widać było dolinę Indusu, za nią pasmo Himalajów Ladakhu, a zza niego na północy wyglądało już kolejne, zaśnieżone i oblodzone pasmo – to było Karakorum! To był prawdziwie wysokogórski krajobraz.

Co prawda nęcił mnie dalszy przebieg grzbietowej ścieżki, która w bieszczadzkiej scenerii pięła się na kolejny kopulasty szczyt, który miał już co najmniej 5 200, ale wiedziałem że i tak już przegiąłem, więc obróciłem się na pięcie i zacząłem zbiegać w dół. W samą porę. Na Małej Kopie czekała już na mnie podparta pod boki i wkurzona Marta, która na mój widok odesłała na dół kilku towarzyszących jej wycieczkowiczów i sam na sam powiedziała mi trochę do słuchu. Bynajmniej nie gratulowała mi zdobycia dwóch 5-tysięczników i ustanowienia rekordu wysokości wyprawy, za to dowiedziałem się trochę o sobie, o braku rozsądku, niewłaściwej aklimatyzacji i paru innych rzeczach. Zakończyła za to w sposób motywujący. Jeżeli teraz, po tych swoich „wygłupach” nie wejdę na Stoka, to ona osobiście oddzieli moje nogi od reszty ciała i to bez znieczulenia ogólnego. Moje próby obrony w stylu, że dopiero tam ze szczytu było pięknie widzieć Stoka zostały całkowicie zlekceważone. Ponieważ wizja jedności mojego ciała jest mi bardzo bliska, obiecałem jej, że dołożę wszelkich starań by ▶



Stok La już za nami



Pił stop na 4300 metrów n.p.m.



Świt podczas ataku szczytowego



Droga do wierzchołka



Na lodowcu Stok

na Stoka jednak wejść i postaram się przez jakiś czas powstrzymać od samowolek. W końcu cel swój w postaci szczytu dorównującego wysokością Araratowi, a wyższemu niż Kazbeg już osiągnąłem.

Na przełęczy miałem tylko trochę czasu, by się napić i zaczęliśmy schodzić w dół. Minęliśmy kolejne stado wielobarwnych jaków i wkrótce odsłonił nam się widok na gniazdo Stoka, podobny do tego który widziałem z Wielkiej Kopy. Marta popatrzyła na mnie miazdząco, a ja woląłem już nawet nic nie mówić.

Trafiliśmy na kolejny tea-tent, gdzie odnowiłem zapasy coli. Ciekawe, że ceny w nich nie odbiegały zasadniczo od tych w sklepach Leh, były znacząco niższe od tamtejszych cen restauracyjnych, a przecież tutaj wszystko trzeba wnieść i nie jest to 3-godzinna przechadzka, jak do Chaty pod Rysami.

Weszliśmy znów w głęboką dolinę i zaczęliśmy podziwiać niezwykle barwy tutejszych skał. Przewijały się głównie dwa kolory – fioletowy i zielonkawy. Zeszliśmy dość nisko, bo na wysokość 3900 metrów do punktu połączenia się dwóch dolin. Skręciliśmy w tę drugą i delikatnie podchodząc ponad rozlicznymi polami doszliśmy do kolejnej wioski – Rumbak. Ta była już zdecydowanie bardziej cywilizowana. Liczne baterie słoneczne świadczyły o tym, że znają tu prąd elektryczny, budynki też wyglądały na bardziej zadbane. Nic dziwnego – przeszliśmy przez grzbiet himalajski znów na stronę Indusu i stąd do Leh był tylko dzień drogi w dół potoku. Nasz kolejny obóz po tym wyczerpującym, ale bardzo pięknym i owocnym dniu rozbiliśmy troszkę ponad wioską, na wysokości 4100 metrów.

Rano budzi nas znów piękna pogoda. Zwijanie namiotów i przygotowanie do marszu idzie nam coraz sprawniej. Po śniadaniu, na które tym razem odważyłem się zjeść coś więcej niż tylko suche podplomyki i ryż ruszamy w stronę kolejnej przełęczy – Stok La. Tym razem krajobraz jest zupełnie inny niż pod Ganda La. Otaczają nas spiczaste turnie i teren skalny, sama przełęcz też sprawia wrażenie jakby wyciętej toporem w ostrej grani. Podejście wkrótce przestaje być łagodne



Przebudzenie w obozie bazowym

i z wielkim mozołem, serpentynami wspinamy się wyżej i wyżej. Mimo aklimatyzacji na tej wysokości nie da się iść szybko. W końcu ślizgając się po stromej, pokrytej żwirem i drobnymi kamykami ścieżce dochodzimy na przełęcz, na której czekają już nasze konie. Prawdę mówiąc serca nam ścisłał widok ich mordęgi, gdy obciążone bagażami mijały nas na podejściu. Ciężko zarabiały na swój kawałek siana.

Przełęcz Stok La mierzy sobie 4873 metry, a więc jest trochę niższa od naszej wczorajszej zdobyczy, wejście na nią było jednak o wiele bardziej męczące. Z jednej strony ograniczają ją ostre turnie, z drugiej jednak teren jest łagodniejszy, więc wychodzę kilka metrów powyżej samej szczyrbiny. Widać że na pobliski szczyt dałoby się wejść bez problemu, jest nawet ścieżka, ale pomny danej Marcie obietnicy zaciskam zęby i siadam. Z góry oczywiście widok jest szerszy, można podziwiać zarówno łagodne szczyty himalajskich Bieszczadów, po których wędrowaliśmy wczoraj jak też skalne ściany i iglice po stronie, w którą dopiero mieliśmy się udać.

Tymczasem nasza karawana ruszyła dalej i za chwilę widzieliśmy konie wznoszące się na kolejną przełęcz. Marta miała trochę niewyraźną minę – „wiecie co, nie chciałam was podła-



Na szczycie! 6150 m!

mywać, żeby wam psyche nie siadło na podejściu, ale mamy jeszcze jedną przełęcz dzisiaj do wejścia!”

Zejscie ze Stok La raczej należałoby nazwać zsuwaniem się po stromym, żwirowym zboczu, ale na szczęście obyło się bez strat w ludziach i w koniach. Podejście na drugą przełęcz nie było bardzo długie ani strome, ale po wysiłku spożytkowanym na Stok La trochę to odczuliśmy. Na drugiej przełęczy Marta znowu zrobiła niewyraźną minę: „Wiecie co, jest jeszcze trzecia przełęcz. Nie mówiłam wam, bo... Ale to już naprawdę ostatnia”. Na szczęście każda kolejna przełęcz była niższa od poprzedniej.

Zafrapowały mnie tutaj ciekawe skalne grzebienie, które wypisz wymaluj wyglądały jak Szpyci w Czarnohorze. W ten sposób w Himalajach odnalazłem kolejny skrawek Beskidów!

Z trzeciej przełęczki zeszliśmy wreszcie do głównej doliny, która biegła pod Stoka. Jej dno było płaskie i zasłane skalnym rumoszem, widać że jeszcze niedawno był tu lodowiec. I znów czekało nas podejście do góry, ale na szczęście po pół godzinie dotarliśmy na miejsce kolejnego obozu.

Kucharz naprawdę się postarał, na kolację zrobił pizzę! Ponieważ żołądek zupełnie mi już nie doskwierał, zjadłem słuszną porcję. Był to też ostatni dzień zażywania antybiotyku.

Kolejnego dnia mieliśmy przejść tylko krótki odcinek do obozu bazowego pod Stok Kangri – ledwie 800 metrów podejścia i 7 km drogi. Pogoda wciąż była jak marzenie, nasz jutrzejszy cel wdzięcznie prezentował się przed nami. O ile na dotychczasowej trasie trekkingu spotykaliśmy tylko miejscowych, widać było że teraz trafiliśmy na bardzo ruchliwą trasę, dla większości jednak mijanych ludzi celem był sam obóz bazowy, tylko nieliczni wybierali się wyżej. Gdy w końcu dochodzimy do obozu, widok gęsto rozstawionych tu namiotów wprawia mnie w lekki szok. Znajdujemy jednak miejsce na rozbicie się i czekamy na wieczór. Niestety, tuż przed kolacją czuję, że moja zmora wraca. Znowu problemy z żołądkiem, a dopiero wczoraj odstawiłem antybiotyk! Tym razem pod pewnymi względami jest nawet gorzej, bo po prostu odrzuca mnie od jedzenia. Byłem załamany – tuż przed atakiem szczytowym! Co prawda w obozie był w dużym namiocie zorganizowany sklep, gdzie zaopatrzyłem się w colę, ale moje odrodzone nadzieje na wejście na szczyt znów runęły. Odwodniony, chory, na czczo – jak mam wejść na taką górę? Przez moment byłem nawet zdecydowany na pozostanie w obozie, zwłaszcza że jeżeli nie dam sobie rady na trasie, to ►



Cała grupa razem z obsługą trekkingu

mogę też zepsuć wyprawę komuś, kto pójdzie ze mną na linie, w końcu nie mieliśmy tylu przewodników, żeby każdy miał swojego.

Wieczorem dołączyło do nas jeszcze trzech przewodników. Bożena z Maćkiem, którzy chodzili ze mną na samowolki wynajęli swojego własnego, resztą podzieliliśmy się w grupie. Każdy 3-osobowy zespół miał mieć swojego opiekuna.

Poszliliśmy wcześniej spać, a pobudka była kwadrans przed północą. Szybkie lekkie śniadanie, na którym wmuszam w siebie dwa suche podplomyki. Mały z Martą pokazują mi naszego kuchcika, który ma być moim aniołem stróżem. Jeżeli nie dam rady, sprowadzi mnie w dół. OK, to pozbawia mnie resztek wątpliwości, nikogo nie pozbawię szczytowania, spróbuję dojść tak daleko jak się da.

Godzina pierwsza w nocy – świecąc czołówkami ruszamy. Na początek stawiam sobie mało ambitny cel – wejść przynajmniej na grzbiet górski rozdzielający dolinę obozu bazowego od doliny opadającej bezpośrednio pod Stok Kangri i wznoszący się na jakieś 250 metrów nad obozem, a potem zobaczymy. Staram się trzymać swojego miejsca w szeregu, wolno sunąć pod górę. W nocy jest mróz, ale oddycham ustami, starając

się skrupulatnie napełnić każdy pęcherzyk płucny rozrzedzonym powietrzem.

Mija niecała godzina, dochodzimy na siodło w grzbiecie, wysokość 5250 metrów. Nie tylko nadążyłem za czołówką, ale nawet z tyłu zostało za mną kilka osób. Pociągam parę solidnych łyków coca-coli i jestem gotów do dalszego marszu. Teraz za cel stawiam sobie dojście do lodowca.

Nocny marsz jest monotony, widzi się tylko plecy poprzednika i światła czołówek gdzieś powyżej i poniżej nas. Idziemy wolnym krokiem, ale nieustannie. Wreszcie przystajemy by ubrać raki, co od razu wykorzystuję by uzupełnić poziom coli w organizmie. Mija nas kilka osób schodzących z góry, to ci, którzy nie dali rady. Widzimy zmęczone, zmaltretowane twarze – rany, to tam jest aż tak źle? Wysokościomierz pokazuje około 5400 metrów, to już naprawdę wysoko, choć do szczytu jeszcze 750 metrów!

Z tyłu dochodzi do nas Marta, której gdzieś w ciemnościach zgubił się Brian ze swoimi podopiecznymi. Przy okazji mówi nam, że dwójka naszych zawróciła do obozu. Maciek z Bożeną, którzy od dłuższego czasu narzekali na wolne tempo i liczne postoje korzystając

z tego, że mają swojego przewodnika ruszyli w górę sami. My jeszcze chwilę czekamy, Marta poszukuje Briana, ale wciąło go jak chleb po osiem. Pora i na nas ruszać dalej.

Idziemy w rakach, ale bynajmniej nie po lodowcu, tylko po kamieniach. Słyszcząc rozpaczliwe zgrzyty spod stóp serce mi się kraje, zwłaszcza że lodowiec jest gdzieś po naszej prawej stronie, idziemy wzdłuż niego. W końcu Mały skręca, a my za nim. Lodowiec jednak wygląda zupełnie inaczej niż się spodziewałem. Zamiast gładkiej, twardej powierzchni stąpamy po zlodowaciałym śniegu, z którego uformowały się miniaturowe penitenty. Wygląda to trochę jak śnieżna trawa. Przez lodowiec przepływa kilka strumyków, które musimy przekroczyć i wkrótce przechodzimy na jego drugą stronę. Pada polecenie – zdjąć raki!

Wkładam raki do plecaka, biorę trzy łyki coli i stwierdzam, że wciąż jestem w stanie iść dalej.

Nadal jest ciemno, nic nie widać, ale słyszę od przewodnika, że teraz zaczyna się najmniej przyjemna część podejścia – wielki, piarżysty stok opadający aż spod grani szczytowej. Wolniutko suniemy do góry nieznacznie wydeptaną ścieżką by na wysokości 5500 metrów spotkać Briana z dwiema dziewczynami z naszej grupy. Co ciekawe, cały czas szli na końcu, aż przypadkiem przy lodowcu nie zauważyli naszego postoju i z dalekich tyłów wysunęli się na czoło. Tak to spełnia się w życiu biblijna przypowieść o tym że ostatni będą pierwszymi. Ruszamy dalej, ale wkrótce widać jakieś zamieszanie, Mały każe nam się zatrzymać i schodzi do tyłu grupy. Po chwili wraca i wyjaśnia, że mój osobisty bodyguard, który miał się mną opiekować i sprowadzić na dół dostał ataku choroby wysokościowej i musi sam zejść na dół. Cóż, jestem już zdany tylko na własne siły! Na szczęście czuję się nadspodziewanie dobrze i wykorzystuję każdy postój, by pociągnąć łyk lub dwa z butelki pełnej ciemnobrazowego płynu.

Mimo ogromnej wysokości wciąż idziemy po kamieniach, choć widać że po bokach ciągną się już śnieżne pola. Marsz na tej wysokości jest bardzo specyficzny. Idzie się niezwykle powoli, oddychając jak się da głęboko, co kilkadziesiąt kroków i tak trzeba się zatrzymać, by doprowadzić organizm do porządku. Tymczasem niebo zaczyna szarzeć. Gdzieś z boku zaczyna być widoczna nieco upiorna w tym oświetleniu lodowa grań zamykająca kocioł pod Stok Kangri. Niebo na wschodzie zaczyna różowieć i wkrótce różowieje wszystko dookoła, wreszcie widzimy, gdzie jesteśmy. A jesteśmy na bezkresnym mogło by się wydawać piarżysku. W dole widać lodowiec, który przekroczyliśmy, a w górze – co się stało z tą przepiękną

śnieżną piramidą, którą z podziwem obserwowaliśmy z Leh, z Wielkiej Kopy i paru innych miejsc? Na górze widać bezkształtną kupę kamieni, poprzytękaną gdzieś tam pasami śniegu. Świt zastał nas na wysokości mniej więcej 5600 metrów, idziemy już 5 godzin, a przed nami jeszcze połowa podejścia!

W świetle idzie się lepiej. Co prawda podejście jest niesamowicie żmudne, ale z każdym krokiem wznosimy się wyżej i wyżej, przez co powiększa się nam widnokrąg. W trzech czwartych jest on zasłonięty na razie przez Stok i jego ramię, tworzące poniżej kocioł lodowcowy, ale na wschód widok jest przepiękny. Niestety, coś się dzieje z pogodą. Na wschodzie pokazały się chmury, które wkrótce przesłoniły słońce. Byłe zdążyć na szczyt przed załamaniem!

Tymczasem zbocze staje się coraz bardziej strome i dochodzimy do śniegu. Mały zaczyna trawersować w stronę wyraźniej szczytowej grani szczytowej opadającej ze Stoka. Idziemy już nie pod górę, a po skosie. Początkowo idziemy bez raków, przewodnik mówi, żeby nie zakładać, ale kiedy na już naprawdę stromym zboczu spod śniegu wylania się lód, buntuję się, w czym popiera mnie Marta. Zatrzymujemy się i znów ubieramy raki. Wysokość 5800, za chwilę pobiję rekord wysokości! Czuję, że szczytu mi już nic nie odbierze. Ku mojemu zdziwieniu po ubraniu raków wysuwam się na czoło grupy i pierwszy dochodzę do przełęczy. 5950 metrów, mam nowy życiowy rekord!

Na przełęczy odpoczywamy dłuższą chwilę i spotykamy pierwsze dwie osoby schodzące z wierzchołka. Gratulujemy im, mówią, że to już niedaleko. Grań przed nami jednak piętrzy się mocno w górę, wygląda stromo i niezbyt przyjaźnie. Jest głównie skalna, więc raki znów wędrują do plecaka. Wypijam resztkę coli i zagryzam gotowanym ziemniakiem, którego dostaliśmy jako suchy prowiant. Mały radzi nam, żeby na przełęczy zostawić plecaki. Na szczyt niedaleko, mówi. Będzie lżej. No i zostawiamy, a razem z plecakiem zostają raki i czekam...

Zaczynamy ostatni szturm szczytowy. Czytałem o tym odcinku, że miejscami jest ekspozycyjny i nieprzyjemny. Istotnie, miejscami pojawiają się przepaści, na szczęście grań jest na tyle szeroka, że idąc do góry nie czuję dyskomfortu. Ostatnia porcja coli dodała mi poweru, idę zaraz za Małym, a reszta grupa za mną. Przecinamy dwa strome półka śnieżne. Nieśmiało przez myśl przechodzi mi spostrzeżenie, że w zejściu bez raków może to być niewesołe, bo nachylenie jest znaczne. Odpędzam jednak ponure myśli obiecując sobie, że zacznę się tym martwić w zejściu. Przekroczenie poziomicy 6 tysięcy metrów kwitujemy radosnym okrzykiem. ▶

Tymczasem widok się poszerza, mało który szczyt w otoczeniu dorównuje nam wysokością. Niestety, niebo się zaciąga i przez moment nawet doświadczamy opadu krupy śnieżnej. Widać okoliczne grzbiety górskie, ale marzenie o tym, by zobaczyć odległe o 70 km gniazdo 7-tysięczników Kun i Nun musimy odłożyć na lepsze czasy.

Mijamy schodzących ze szczytu Bożenę i Maćka z przewodnikiem. Zachęcają nas, że to już bardzo blisko.

W końcu grań się kończy, widzę przed sobą kolejne strome pole śnieżne, na czubku którego widać powiewające chorągiewki modlitewne! To musi być szczyt! Dobywam resztki sił i usiłuję dogonić Małego. Pole śnieżne jest nieprzyjemnie nachylone w stronę przepaści, próbuję rąbać w nim stopnie butami i w końcu wychodzę na wierzchołek. Mały podaje mi rękę, po czym najzwyczajniej w świecie uклада się do snu. No tak, w końcu on też wstał dziś przed północą, a jest dzień. Nasza wspinaczka na wierzchołek zajęła przeszło dziewięć godzin.

Po kilku chwilach dociera reszta grupy. Oprócz dwóch osób, które wycofały się prawie na początku wszyscy weszliśmy na szczyt, to wspaniałe osiągnięcie! 6150 metrów! W dwóch poprzednich wyjazdach Exploruj na tę górę udało się to odpowiednio jednej i dwóm osobom – co prawda były to trochę mniejsze grupy, bo sześćosobowe. Trzeba przyznać, że pomogła nam pogoda – nie wiało, było w miarę ciepło i bardzo mało śniegu na trasie. Swoje zrobiła też Marta – w paru momentach interweniowała, gdy ktoś gorzej się poczuł, dodawała otuchy i motywowała nas. Teraz na szczycie panuje radość, ściskamy się, poklepujemy po ramionach i robimy liczne wspólne zdjęcia. Tylko Mały spał z boku.

Na szczycie przebywamy jakieś pół godziny i przewodnicy zaczynają nas zganiać na dół. Teraz pojawia się problem – jak zejść w dół bez raków? Problematyczne jest zwłaszcza szczytowe strome pole śnieżne, gdzie łatwo się poślizgnąć i pojechać na dół.

Dwóch przewodników ma ze sobą plecaki, a w nich liny. Dzielą nas na dwa zespoły i wiążą w pasie. I tak powoli, krok po kroku zaczynamy spełzać w dół. Zejście jest jednak dużo mniej przyjemne niż wejście. Trzeba zachować dużą precyzję w stawianiu kroków, by nie uderzyć w poprzednika, nie nadepnąć na linę i nie przyspieszyć zanedo, by nie pociągnąć za sobą tych z tyłu. Gdy wreszcie docieramy na przełęcz i rozwiązujemy się, czuję się bardziej zmęczony niż po wejściu na szczyt.

Dalsza droga wydaje się być prostsza. Zjadam jakiś batonik energetyczny, niestety cola się skończyła, piję

resztkę herbaty z termosu. Przed nami teraz trawers śnieżnego pola, więc znów ubieramy raki.

Schodzi się faktycznie szybciej, ale jest to zdradliwe, bo kroki stawiane z większym rozmachem od czasu do czasu powodują osuwanie się nóg na stromym zboczu, zachwianie równowagi i rozpaczliwe wygibasy, by ją utrzymać, co na tej wysokości niesamowicie wyczerpuje. Wkrótce ląduję na szarym końcu, inni jakoś lepiej sobie radzą z zejściem. Mały proponuje, żeby sięść na odwłokach i zjechać hamując czekanami, ale Marta głośno protestuje, widać woli grupę doprowadzić w całości na dół. Mnie też ta wizja niespecjalnie się podoba, bo w wielu miejscach ze śniegu wyłaniają się kamienie i zjazd mógłby się źle skończyć. I tak staczamy się w dół, klnąc i wymachując rękami. Czuję się coraz bardziej zmęczony. Niedotleniony, wymęczony i słabo karmiony organizm chyba już dobił do ostatnich rezerw. W końcu śnieg się kończy, zdejmuję raki, jednak zejście po kamieniach w ciężkich, nieelastycznych butach lodowcowych staje się prawdziwą katorgą. Jednak jakiś postęp jest, jeźdźca lodowca w dolinie widoczny jest coraz bliżej. Czuję, że te francowate kamienie zaraz mnie wykończą, a zbrocze zdaje się nie mieć końca. W końcu, nareszcie dochodzimy do brzegu lodowca. Tam czeka na nas Mały.

Kolejny raz przychodzi nam ubierać raki, na szczęście ostatni. Robię to z ogromnym trudem, czuję jak bardzo jestem wyczerpany. Zjadam resztkę batonika, pijam Mirindę, to powinno wystarczyć mi na dojście do bazy. Lodowiec w dzień wygląda inaczej, śnieg rozmókł i płyną po nim liczne strumyki wody. Na szczęście ten odcinek jest krótki. Po drugiej stronie zostaję żeby odpocząć, reszta grupy idzie dalej. Po kwadransie i ja się zbieram, wyraźną ścieżką łatwiej idzie się w dół, tak więc po jakiejś chwili doganiam dwie dziewczyny z naszej grupy. Pogoda się poprawiła, chmury się rozpięchły i z tej perspektywy znów możemy podziwiać kształtną sylwetkę naszego szczytu. Jeszcze odrobina wysiłku i dochodzimy na przełęczkę nad obozem bazowym. Widzę swój namiot, już tak bliski!

Ostatnie zejście to czysta przyjemność. Kucharz na powitanie częstuje nas herbatą i owocami z puszek. Jak one smakowały! Z ulgą zdejmuję ciężkie buty i wpelzam do śpiwora, by się zdrzemnąć przed kolacją. Nasza wyprawa na szczyt zajęła nam 15 godzin.

Na kolację kucharz się naprawdę postarał, wybór dań był zaiste szokujący – od pierogów zwanych tutaj momosami poprzez makaron z sosem i risotto. Na koniec oczywiście deser – owoce z puszek i jakieś ciasteczka. Żołądek mi się uspokoił, więc zjadłem ze smakiem. Po takim dniu chyba nikt nie miał problemów z zaśnięciem.

Rano budzę się i widzę że ściany namiotu są wybruszone. Zaglądam na zewnątrz i nie wierzę własnym oczom. Cały obóz pokryty jest kilkoma centymetrami śniegu, który wciąż sypał! Co za nieprawdopodobne szczęście mieliśmy wczoraj, wychodząc na szczyt! Dziś mogłoby to być już niemożliwe albo bardzo trudne. Otrzepujemy namioty ze śniegu i bawimy się śnieżkami. W dniu dzisiejszym w planach było zejście doliną potoku Stok i rozbięcie ostatniego obozu kilka kilometrów przed końcem doliny. Starszyzna jednak robi naradę i postanawia, że kończymy dzisiaj, schodzimy na sam dół, bo namioty będą mokre, a niżej zamiast śniegu pada deszcz. Trochę żalowaliśmy, ale wizja tego, by już dziś wejść pod prysznic po tygodniu prób mycia się w lodowcowych potokach działa nam na wyobraźnię, więc godzimy się na tę propozycję natychmiast. Ostatni więc raz pakujemy namioty, które przez miniony tydzień były nam domem, robimy sobie pamiątkowe zdjęcie z całą naszą ekipą która przez ten tydzień nas karmiła, przynosiła herbatę do namiotu, prowadziła karawanę i wreszcie wprowadziła na szczyt, po czym wyruszamy w dół.

Istotnie już po zejściu dwustu metrów śnieg zamienia się w deszcz, góry toną w chmurach, ale idzie nam się z lekkim sercem. Mijamy nasz obóz czwarty, w którym spaliśmy przed dojściem do bazy, rozgałęzienie dolin, gdzie dochodził szlak, którym przyszliśmy tu ze Stok La. Nie mogę się oprzeć, by nie zrobić sobie małej samowolki (w końcu Stok już zdobyty i czułem się zwolniony ze swej obietnicy) i wchodzę na punkt widokowy nad doliną. Wkrótce dochodzimy do kolejnego tea-tentu, gdzie robimy sobie mały odpoczynek. To tutaj mieliśmy rozbić nasz ostatni obóz. Pogoda wciąż nieprzyjemna, siąpi deszcz i wiszą chmury.

Został nam ostatni, mniej więcej godzinny odcinek i dochodzimy do wioski Stok. Tu czekają już na nas samochody, jest sklep w którym natychmiast kupuję colę, by utwierdzić własny żołądek w porzuceniu buntu i przy okazji zaspokoić pragnienie.

Patrzymy, jak konie naszej karawany są rozładowywane, a nasze plecaki lądują na dachach samochodów. Niestety, nie tak prędko jest dostać się do prysznica. Jako że realizujemy program dwóch dni w ciągu jednego czeka nas teraz zwiedzanie wioski Stok.

Najpierw pokazują nam nową świątynię u wylotu doliny z ogromnym napowietrznym Buddą, a potem jedziemy obejrzeć aktualny pałac królewski, do którego ród królów Ladakhu przeprowadził się z Leh. Nowy pałac wygląda dużo przytulniej, przechodzimy przez kilka udostępnionych pomieszczeń, oglądamy galerię portretów i zdjęć rodu panującego i nieustannie ubieramy i zdejmujemy buty. Niestety, król do nas nie wyszedł.

W końcu koniec męczarni, jedziemy do Leh. Gospodarz naszego pensjonatu wita nas radośnie i gratuluje sukcesu. Cała ciepła woda, podgrzewana energią słońca w wielkich czarnych baniakach na dachu domu zostaje w krótkim czasie przez nas zużyta. Jeszcze szybki wypad na kolację i zakupy w mieście i wreszcie można się zacząć przymierzać do łóżka z pościelą.

W nocy kilkakrotnie budzą mnie jakieś dziwne duszności, przeżywałem już coś podobnego w Ekwadorze i przeszło po jednym dniu, nie przejmuję się więc tym.

Kolejny dzień został niejako zaoszczędzony i jest przeznaczony na odpoczynek. Chodzimy po mieście, kupujemy pamiątki, a na kwaterze pierzemy nasze rzeczy, które po tygodniu przebywania w plenerze zmieniły nieco kolor. Przy okazji moje koleżanki ratują mnie, zaszywając dziury w kroku, które zrobiły mi się w obydwu parach spodni. Jestem im ogromnie wdzięczny.

Kolejna noc – niestety nie mogę zasnąć. Męczą mnie duszności o wiele silniejsze niż poprzedniej nocy. To zaczyna być trochę niepokojące, ale skoro przeszło poprzednim razem, to teraz też tak powinno być.

Następnego dnia grupa postanawia się udać na rafting po rzece Zanskar. Niespecjalnie mi się to uśmiecha, kiedy słyszę że trzeba się tam przebierać w pianki do nurkowania, które nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak były czyszczone. Poza tym mam własne plany na ten dzień. Nad Leh jest cała masa szczytów o niewielkiej wysokości względnej, ale za to pokaźnej bezwzględnej, a na moich mapach są zaznaczone ścieżki na niektóre z nich. Postanawiam więc iść na kolejną samowolkę – w góry. Oczywiście należycie się odmeldowałem Marcie, pokazałem gdzie idę, więc była to samowolka w sumie zalegalizowana.

Grupa pojechała, a ja pakuję plecak i ruszam na trasę. Czuję jednak, że coś jest nie tak. Jestem bardzo słaby i nie mogę w pełni nabrać powietrza, tak jakbym oddychał tylko jednym płucem. Kojarzę to z moimi nocnymi dolegliwościami, ale cóż, skoro już wyszedłem w góry to głupio zawracać.

Idę najpierw przez Leh w dość ciekawej scenerii, nad kanałami nawadniającymi. Jak na tutejsze warunki jest tu niesamowicie zielono, rosną drzewa, a miejscami nawet widać trochę trawy. Gdy tylko opuszczam rejon zwartej zabudowy znów zaczyna się pustynia.

Idąc zgodnie z mapą obchodzę dookoła górskie ramię i skręcam w boczną dolinę, która ma wyprowadzić mnie na przełęcz pod zaplanowanym szczytem. Podejście jest łagodne, nie przekroczyłem jeszcze 4 tysięcy ►

metrów, ale czuję się bardziej słaby niż w ataku szczytowym na Stoka, co chwilę muszę przystawać i odpoczywać. W końcu przełącz, a z niej krótki, choć stromy odcinek podejścia na szczyt – 4137 metrów.

Góra na którą wszedłem nieco przypomina Giewont – bieszczadzka od pleców, natomiast opadająca niemal pionową ścianą w stronę Leh. Tuż pod sobą widzę Shanti Stupę, na której byliśmy trzeciego dnia. Widok jest zaiste porywający, choć wysokie pasma Himalajów wciąż toną w chmurach, załamanie pogody trwało. Ze szczytu za to pięknie widać było samo miasto i wianuszek baz i osiedli wojskowych rozsianskich wokół niego. Na szczycie samym widzę też kamienne murki i schrony, które zapewne służą czasami żołnierzom jako punkty obserwacyjne.

Nacieszywszy się widokami schodzę w dół. Choć widzę ścieżkę i kopczyki sprowadzające w stronę Leh granią, nie chcę ryzykować – jestem sam, w niezbyt dobrej formie, więc wybieram łagodniejszą, choć okrężną drogę, którą tu przyszedłem. Cała wyprawa zajęła mi około 5 godzin. Po jakimś czasie przyjeżdża reszta grupy. Myny mają takie nie do końca zadowolone. Okazało się, że rafting był z przygodami. Grupa nie zmieściła się na jednym pontonie, więc przydzielono im dwa. Teraz kolei było ich za mało, więc dokooptowano im trzy młodociane Chinki, które za bardzo nie wiedziały, do czego służą wiosła. W efekcie ten ponton na bystrzynie się wywrócił, a wszyscy wylądowali w wodzie wzburzonego Zanskaru. Domyślałem się, że nie była ciepła. Na szczęście mieli kapoki i kaski, więc skończyło się na strachu, jakoś po kolei ich wyłowiono i odwieziono na brzeg. Nie mieli już ochoty na kontynuację spływu. W duchu pogratulowałem sobie swojej decyzji, zwłaszcza że ja na pewno wziąłbym ze sobą przynajmniej telefon, jeżeli nie aparat fotograficzny, a kąpiel we wzburzonej górskiej rzece mogłaby im nie posłużyć. Mnie zresztą też.

Kolejnego dnia zgodnie z programem mieliśmy opuścić Leh i pojechać na wysoko położone obszary wokół górskiego jeziora Tso Moriri, a trzeciego dnia wrócić, jadąc przez bardzo wysoką przełęcz Tanglang La, mierzącą sobie ponad 5300 metrów wysokości. Niestety, kolejnej nocy duszności nie pozwoliły mi spać, więc rano po śniadaniu przyznałem się Marcie do swoich dolegliwości. Cóż, kolejny raz pokazała co potrafi. W ciągu kwadransa wezwła szefa agencji turystycznej, która nas tu prowadziła, zrobiła konferencję ze swoim szefem w Polsce (u nas była wtedy 4:30 rano) i postanowiła że jedzie ze mną do szpitala na badania. Ludzie już wsiadali do samochodów, więc wygoniła ich z powrotem, zarzą-

dając przerwę. Kontakt z hinduską służbą zdrowia wypadł w sumie pozytywnie, zaszokowały mnie tylko tutejsze ceny usług medycznych – wizyta u lekarza – 5 rupii (w przeliczeniu około 30 groszy), badanie EKG – 50 rupii (3 złote), najdroższe było prześwietlenie płuc – 60 rupii. Badanie lekarskie niczego nie wykazało, powiedziałem więc Marcie, że skoro nic mi nie jest, to chyba mogę jechać z grupą. Marta nie bardzo wiedziała, jak mi powiedzieć, że to nie jest zbyt dobry pomysł – w końcu poprosiła mnie żebym został, bo jadą na obszary położone bardzo wysoko i daleko, gdzie nie będzie możliwości dowiezienia mnie do szpitala, gdyby nagle się okazało, że jestem mniej zdrowy niż myślałem. Po chwili zadzwonił szef Exploruj z Polski i przyłączył się do jej prośby. W takiej sytuacji nie mogłem jej odmówić, w końcu w okolicy Leh też jakoś znajdę zajęcie. Marta spojrzała na mnie z przerażeniem, widziałem że przez moment zaczęła się zastanawiać, że może lepiej będzie jednak zabrać mnie ze sobą, w końcu jednak poprosiła mnie, żebym nie szalał i nie wychodził powyżej 4500. Przyrzekłem, że nie. Gospodarz pensjonatu został powiadomiony o moim stanie zdrowia i poproszony, żeby mnie doglądał. W końcu wszyscy (no, prawie wszyscy) mnie uściskali i pojechali, a Marta na pożegnanie rzuciła mi dyscyplinujące spojrzenie z gatunku „ty już wiesz co”.

Pierwszy dzień istotnie spędziłem w łóżku, na szczęście miałem ze sobą ze sobą czytnik, więc się nie nudziłem. Gospodarz co parę godzin pukał do pokoju, by zobaczyć czy żyję i czegoś nie potrzebuję. Noc wreszcie przespałem bez duszności, a może byłem zbyt zmęczony żeby mnie obudziły. Kolejnego dnia postanowiłem już wybrać się na dłuższy spacer po Leh. Dopiero teraz pogoda zaczęła się poprawiać, choć najwyższe wierzchołki to-nęły wciąż w chmurach, a te nieco niższe, 5-tysięczne pokryte były warstwą świeżego śniegu. Podczas tego spaceru odwiedziłem jedyny kościół chrześcijański w Leh, należący do Morawian. Nie miałem wcześniej pojęcia o istnieniu takiej grupy religijnej, okazuje się że wywodzą się oni od Braci Czeskich, czyli husytów, w tej chwili główna siedziba jest w Niemczech, jest to kościół należący do wspólnoty kościołów ewangelicznych, który prowadzi dosyć intensywną działalność misyjną. Niestety spóźniłem się na mszę, ale miałem okazję obejrzeć jak funkcjonuje tutejsza wspólnota. Kościół był dwupiętrowy, na dole znajdowała się sala spotkań, gdzie rozstawiane były stragany, gdzie można było dostać coś do jedzenia i picia. Ludzie siedzieli tu na dywanach i prowadzili ożywione życie towarzyskie, a tutejszy pastor, Hindus tak jak i wierni krążył między

swoimi owieczkami, przy każdym się zatrzymywał, rozmawiał i ścisnął dłonie.

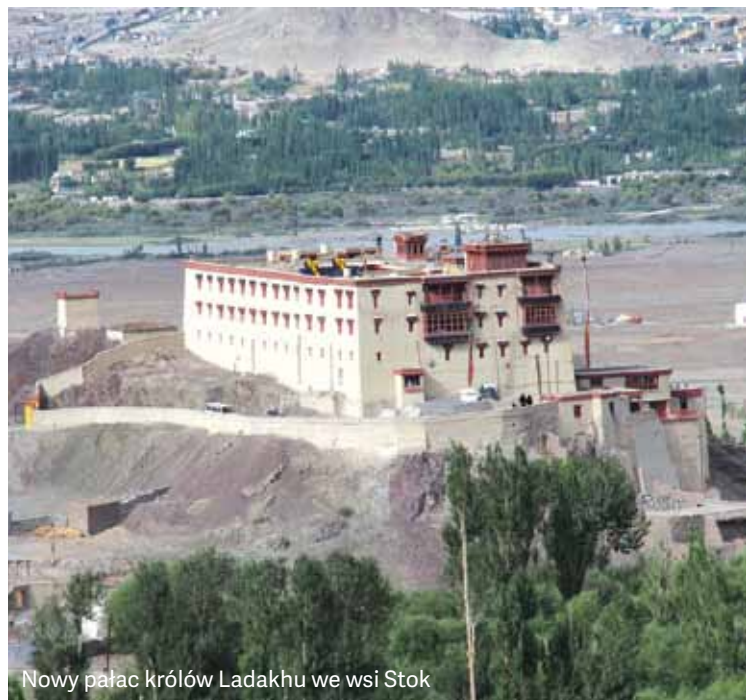
Właściwy kościół znajdował się piętro wyżej. Żeby się tam dostać, trzeba było ściągnąć buty, tak jak w tutejszych świątyniach buddyjskich i muzułmańskich. Sala mało przypominała nasze kościoły, choć widać było ołtarz, a z boku stojące, całkiem współczesne instrumenty muzyczne. Żałowałem, że spóźniłem się na nabożeństwo, tutejsze pieśni religijne musiały być bardzo oryginalne. Co ciekawe, wszystkie modlitewniki były napisane w tutejszym tybetańskim dialekcie.

Z kościoła przeszedłem się w stronę zamku, jednak zupełnie inną drogą niż poprzednio. Podejście znów wywołało we mnie zadyszkę, więc z zamku zszedłem na dół stromymi schodami i poszedłem do restauracji na obiad.

Noc minęła mi bez szczególnych atrakcji, więc trzeciego dnia postanowiłem zrobić ambitniejszą trasę – w końcu wyprawa dobiegała końca, wieczorem nasi mieli wrócić znad Tso Moriri. Upatrzyłem sobie kolejny szczyt nad Leh, a moja mapa mówiła, że na jego wierzchołek prowadzi ścieżka.

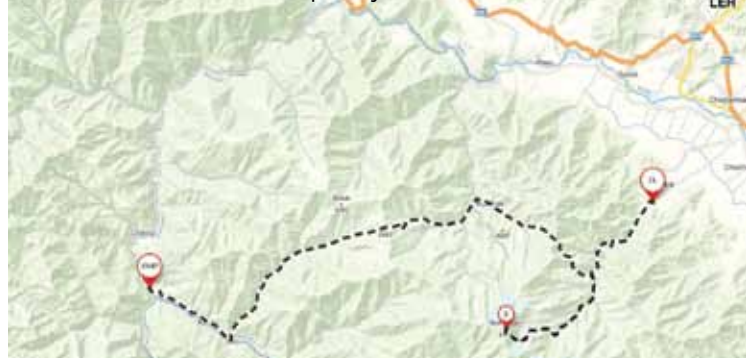
Trafiłem jednak tym razem w pustynną część Leh. Dolina była krótka i nie płynął nią żaden potok, na początku miałem też wrażenie, że urządzono tu wysypisko śmieci. Powoli sunąłem w górę, co chwila odpoczywając. Moja forma wciąż była bardzo kiepska. Po jakimś czasie jednak wdrapałem się z niemalym móżdżem na przełęcz 3850 i pierwszy raz zobaczyłem górę, na którą miałem wejść. Nie powiem, wyglądała dość imponująco, jako gustowny stożek ze skałami na czubku. Podejście było miejscami trochę kruche, a ścieżka mało wyraźna, ale po kolejnej godzinie cieszyłem się z kolejnego, niestety już ostatniego himalajskiego szczytu na tej wyprawie. Według pomiarów z mojego GPS liczył sobie 4082 metry, trochę mniej niż poprzedni, ale porównując z naszymi Beskidami zupełnie nieźle.

Tego dnia wreszcie zrobiła się pogoda, wszystkie szczyty się odsłoniły, widać było że śniegu w górach spadło całkiem sporo. Samo Leh miałem zasłonięte, więc widoki były zdecydowanie bardziej dzikie i himalajskie. Otoczenie szczytu było wysokogórskie, ale widziałem możliwość wejścia na kilka sąsiednich, wyższych wierzchołków, widać było biegnące w różnych kierunkach ścieżki. Serce by chciało, ale będąc tu sam, w kiepskiej formie, w dodatku bez możliwości komunikacji wolałem nie ryzykować. Jako jedyny wyraz buntu wobec smutnej rzeczywistości wybrałem zejście inną doliną, gdzie na mapie nie miałem zaznaczonej ścieżki. Trudności rzecz jasna nie było prawie żadnych, ale poczułem się jak odkrywca.



Nowy pałac królów Ladakhu we wsi Stok

Trasa trekkingu od wsi Chilling przez Stok Kangri do wsi Stok. 64 km marszu, 5000 metrów przewyższenia



Stok Kangri na pożegnanie





Dosłownie w kwadrans po moim powrocie na kwatery wróciła nasza ekipa. Ich wyprawa też była bardzo atrakcyjna, choć mieli problemy z pierwszym miejscem noclegowym. Marta tylko dokładnie się wypytala co robiłem, przez ten czas, niestety wydał mnie właściciel pensjonatu, który powiedział jej że jestem „great man”, bo właśnie wróciłem z gór. W takiej sytuacji nie było się czego wypierać, zwłaszcza że nie poszedłem wyżej niż 4 i pół tysiąca.

Tak się zakończyła nasza przygoda z Himalajami. Następnego dnia taksówki odwiozły nas na lotnisko w Leh.

W Delhi mieliśmy kilkanaście godzin na przesiadkę na samolot do Europy, więc był czas, żeby choć rzucić okiem na tę olbrzymią metropolię. Mieliśmy zarezerwowany hotel, w którym mogliśmy zostawić bagaże i się umyć. W Delhi na lotnisku kupuje się usługi korporacji taksówkowych w kantorku na lotnisku, co chroni turystów przed oszustami. Zaopatrzeni w odpowiednie kwity wyszukujemy teraz taksówek. Oczywiście w ich roli niezastąpione tu malutkie Suzuki Carry. W bagażniku naszego egzemplarza znajduje się butla na gaz, więc mieszczą się w nim tylko dwa plecaki.

Mój ładuje na dachu, zabezpieczony jedynie relingami bagażnika dachowego. Ponieważ kierowca uznał że to wystarczy, na własną rękę przywiązuję plecak do relingu. Ruszamy. W Delhi temperatura powietrza wynosi 36 stopni i jest parno, odwykliśmy od takiego klimatu. W samochodzie rzecz jasna nie ma klimatyzacji, mają ją zastąpić otwarte na oścież okna. Kierowca chce jak najszybciej wrócić na postój, w związku z czym wyciska ze swojego samochodziku ostatnie poty. Autostrada z lotniska jedzie sznur pojazdów, w mieście autostrada się kończy i staje się zwykła dwupasmową drogą, która nieustannie się korkuje. Nasz kierowca korzystając z niewielkich gabarytów swojego pojazdu wciska się w każdą lukę i często jedzie między pasami ruchu, wykorzystując nieuwagę innych i przeciskając się pomiędzy innymi pojazdami. Nie jest tu jednak wyjątkiem. Po mniej więcej godzinie takiej jazdy docieramy do naszego hotelu i rozkładamy się w lobby, czekając na Martę która miała przyjechać ostatnim pojazdem. Tu przynajmniej jest klimatyzacja!

Po zjedzonym w położonej vis a vis restauracji obiedzie wyruszamy na pobliską stację metra, by dojechać bliżej centrum. Metro w Delhi jest bardzo nowoczesne i rozległe. Nam jednak do celu trzeba dojechać innym

środkiem lokomocji, typowo indyjskim – motoriksami, zwanymi tutaj tuk tuk.

Aby nasza grupa się do nich pomieściła, zamawiamy od razu cztery takie pojazdy i upychamy się do środka. Wrażenia są niesamowite. Kierowcy gonią się między sobą, przeciskają między samochodami, wszyscy dookoła trąbią, a siedzi się w zasadzie tak, że można kolanem dotknąć błotnika przejeżdżającego obok auta. Wrażenia są mocne, ale nam się to bardzo podoba.

Na początek zwiedzamy olbrzymie mauzoleum władcy Indii z dynastii Wielkich Mogołów – grobowiec Humajuna. Wpisany w 1996 roku na listę światowego dziedzictwa UNESCO nazywany jest ojcem słynnego Tadž Mahal. Znajduje się w ogromnym ogrodzie, a dojście do niego prowadzi przez szereg bram. Najbardziej jednak szokuje zróżnicowanie cen biletów wstępu. Lokalesi – 30 rupii. Innostrańcy – 500!

Kolejnym etapem zwiedzania jest Brama Indii, zbudowana przez Anglików ku czci hinduskich żołnierzy poległych w czasie I Wojny Światowej i wojen afgańskich. Ogromna budowla jest tak na oko większa od Łuku Triumfalnego w Paryżu i obecnie pełni rolę grobu nieznanego żołnierza. Ruch wokół jest ogromny.

Ostatnim punktem programu (przed kąpielą w hotelu rzecz jasna) była wizyta w świątyni sikhijskiej Gurudwara Bangla Sahib. Przed wejściem do niej musimy zdjąć obuwie, ubrać specjalne chusty na głowę oraz obmyć stopy dłonie. Dopiero potem możemy włączyć się w tłum, który obchodzi dookoła świętą księgę. Sikhizm jest bardzo ciekawą religią, a najbardziej zaskoczyło mnie to, że w centrum informacyjnym znalazłem także broszurę po polsku, i to napisaną piękną, bezbłędną polszczyzną.

Przy świątyni funkcjonuje kuchnia i jadalnia, gdzie każdy może coś za darmo zjeść albo również za darmo przyrządzić jakąś potrawę dla innych. Jest to w zasadzie mała fabryka spożywcza. Specjalna maszyna wypływa z siebie ciapaty, w kilku ogromnych kotłach gotują się zupy, a grupa siedzących w kucki lepi pierogi. Jedna z naszych dziewczyn przysiadła się do nich na chwilę i przyłożyła swoją małą cegielkę w postaci zrobionych przez siebie dwóch momosów.

Późnym wieczorem wróciliśmy do hotelu, wzięliśmy prysznic (co za ulga po tak upalnym i pracowicie spędzonym dniu) i popędziliśmy na lotnisko. Mimo późnej pory ruch na ulicach bynajmniej nie zmaleł.

to by było na tyle. Trochę tu jeszcze gór zostało, więc chyba tu jeszcze kiedyś wrócę. Nie da się ukryć, Coca Cola to jest to!

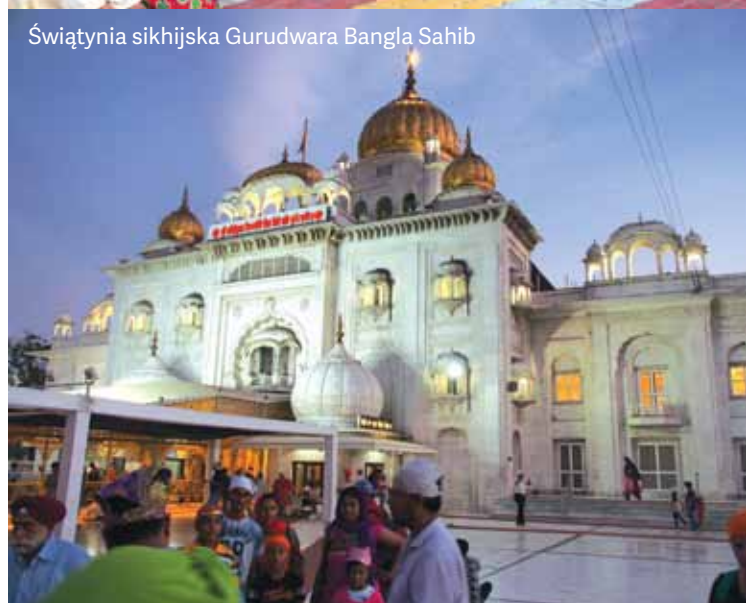
Brama Indii



Sikh w stroju służbowym



Świątynia sikhijska Gurudwara Bangla Sahib



Energocity czyli Złota Praga



Jeziorko na dnie Przełęci Macocha



Magiczne podziemne królestwo rzeki Punkvy

W tym roku do naszych cyklicznych imprez czyli Rajdu Energoprojektów i Energowyprawy dodaliśmy kolejną, o roboczej nazwie Energocity. Pierwsze dwie imprezy jak wiadomo adresowane są dla miłośników górskich wędrówek.

Nie każdy góry lubi, nie każdemu siły i zdrowie pozwalają na taki wysiłek, tak więc postanowiliśmy naszą ofertę dla naszych koleżanek i kolegów z Firmy rozszerzyć o wycieczki bardziej konwencjonalne, objazdowe, krótsze i tańsze, polegające głównie na zwiedzaniu. Na pierwszy ogień poszła Praga.

Miałem nadzieję, że taki wybór sprawi, że podczas zapisów moja skrzynka mailowa będzie puchnąć od zapisów, albowiem wcześniej

wiele osób wyrażało zainteresowanie tym kierunkiem. Tymczasem jak zwykle rzeczywistość okazała się nieco odmienna od oczekiwań, aczkolwiek powodów do narzekania zbytnich nie mam. O ile na Energowyprawy zapisuje mi się przeciętnie 8-10 osób z Biura, to tym razem było ich 13. Liczyłem też na emerytów, ale być może zawiodła komunikacja, w każdym razie zgłosiła się ich tylko dwójka. Łącznie z członkami rodzin i dobranymi kilkoma znajomymi i zaprzyjaźnionymi osobami udało



Panorama Pragi ze Wzgórza Strahovskiego



Arcydzieło sztuki złotniczej – sarkofag św. Jana z Nepomuka



Płyniemy podwodnymi korytarzami jaskini Punkevni

nam się nabierać komplet na auto-
kar 35-miejscowy.

Tym razem jako realizator
naszego wyjazdu zade-
biutowało Biuro Podróży
Górnośląskiego Oddziału
PTTK, było nie było macierzystej
jednostki naszego biurowego Koła.

Program wyjazdu jak na Pragę
był trochę nietypowy, albowiem
wprowadziłem do niego zwiedza-
nie jaskini Punkevni w Moraw-
skim Krasie. Okazało się to być
strzałem w 10-tkę. Mimo raczej
nie górskiego składu uczestnicy

byli zachwyceni tym, co mieli oka-
zję zobaczyć. Jaskinia składała się
z dwóch części, w jednej podziwia-
liśmy przepiękne podziemne sale
z bogatą szatą naciekową, a w dru-
giej przeżyliśmy emocjonujący rejs
podziemną rzeką. Morawski Kras
zdecydowanie wart jest dłuższej
wizyty.

Do Pragi dojechaliśmy późnym
wieczorem, co nie przeszkodziło
niektórym z uczestników wybrać
się jeszcze w towarzystwie prze-
wodnika na krótkie nocne zwie-
dzenie, zakończone degustacją lo-

kalnych napojów regeneracyjnych,
z których produkcji słyną Czechy.

Kolejny dzień był bardzo
dłuuuugi. Program mie-
liśmy bardzo bogaty, ale
nasz przewodnik, bar-
dzo kompetentny pan Czesław ja-
koś dał radę jeszcze go rozszerzyć.
Najpierw zwiedzaliśmy praski
standard czyli Hradczany, Kate-
drę św. Wita, zamek królewski,
potem zeszliśmy na Małą Stranę
i powłóczyliśmy się tamtejszymi
uliczkami. Dodatkowym punk-
tem okazał się być rejs statkiem



Rejs po Wełtawie



Krzyżkowe Fontanny



W jaskini Punkevní

po Wełtawie. Przy pięknej wrzesniowej pogodzie okazało się to być świetnym pomysłem, albowiem wreszcie mogliśmy usiąść i odpoczywając podziwiać piękną panoramę miasta. Po rejsie przeszliśmy Mostem Karola do Starego Miasta, skąd już po zmroku pojechaliśmy obejrzeć widowisko "woda, światło i dźwięk" na słynnych Krzyżkowych Fontannach. Do hotelu wróciliśmy znów późnym wieczorem.

Kolejny, ostatni dzień wyjazdu poświęcony był zwiedzaniu Starego i Nowego Miasta oraz pamiątek po licznej społeczności żydowskiej mieszkającej w dzielnicy Josefov. Po obiedzie wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Wyjazd okazał się bardzo udany, dopisała nam pogoda, a organizator okazał się być bardzo sprawny i solidny. Z pewnością nie była to pierwsza i ostatnia wycieczka tego typu or-

ganizowana przez nas. Na przyszły rok mam już kilka pomysłów mniej lub bardziej ortodoksyjnych – np. Wiedeń z Bratysławą, Budapeszt i zakole Dunaju, Przemyśl, Krasiczyn, Kalwaria Paławska połączone ze Lwowem, a także Gdańsk. Będę wdzięczny za sugestie i przekazywanie mi swoich preferencji, tak jak uczestnicy Energowyprawy niemal przez aklamację wybrali Bośnię jako cel kolejnego wyjazdu, tak mam nadzieję również głos ludu zadecyduje, dokąd uda się kolejna EnergoCity! ■

Zbiorowe zdjęcie uczestników EnergoCity 1

